

Mahanoro, dnia 15 marca 1981 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Spokojnie mijają nam tygodnie przeznaczone na naukę języka malgaskiego. Dzieci pomagają nam skutecznie zadając łatwe pytania i poprawiając błędy zauważone przy czytaniu podczas Mszy Świętej. Pewna dziewczynka wciąż zadawała nam to samo pytanie dotyczące naszego ubrania, gdy po odmówieniu części Różańca wracaliśmy do domu z plaży: czy wasze ubranie jest suche? Przyczyną jej uporu był nasz powtarzający się błąd w użyciu dwóch słów, które po polsku tłumaczy się na „mokry”. Zwykle nasze spodnie były mokre czy wilgotne, gdyż odmawiając Zdrowaśki (po polsku i często już po malgasku) spacerowaliśmy po mokrym i ubitym piasku tuż przy odpływających i powracających na kraniec plaży falach. Nieraz przed odejściem bawimy się, kto dalej wejdzie i ucieknie przed falą. Nie zawsze się to udaje, co zauważyły malgaskie dzieci. Więc nawet drobiazgi są zauważone przez dzieci.

Obserwujemy także i my. Na początku stycznia byliśmy zaproszeni na uroczystą kolację do sióstr. Tym razem w jadalni było ciasno, a na pierwszym miejscu siedziała siostra, która na Madagaskarze spędziła 49 lat, przez 40 lat mieszkała w Mahanoro i było kierowniczką katolickiej szkoły. Teraz jadła z nami ostatnią kolację. Nie było wielu mów. Na pamiątkę otrzymała obrus i dwanaście małych serwetek z haftowanymi motywami malgaskimi. Na drugi dzień pojechaliśmy na lotnisko, aby przed wejściem do samolotu jeszcze raz okazać jej wdzięczność za długą pracę na Madagaskarze. Siostra nadała swoją walizkę, po podaniu każdemu ręki spokojnie weszła do samolotu z małą torbą. Odleciała na zasłużoną emeryturę. Minęło już prawie dwa miesiące od jej odjazdu. Czym jest dla niej ta „zasłużona emerytura”? Na co jeszcze czeka zapewne żyjąc we włoskim klasztorze wśród nieznanym sobie sióstr, chociaż z tego samego Zgromadzenia Córek Bożej Mądrości? Ilu dzieciom (i ich rodzicom) pomogła nauczyć się żyć? I - co dla mnie istotne w tej chwili - kto o niej wspomina, kto wynagrodzi? „Posyłam was na pracę bez nagrody” - śpiewali i nam na pożegnanie w Polsce. Takie przemyślenia pomagają mi pracować z pamięcią o wdzięczności, która nie od ludzi pochodzi.

W soboty i niedziele zapoznajemy się z życiem Malgaszy w ich wioskach. Pewnej niedzieli pojechałem do wspólnoty katolickiej, która ma swój kościół oddalony dokładnie o 14 km od Mahanoro, ale samochodem jedzie się tylko 12 km, potem korzysta się z malgaskiego promu. Jest to środek transportu nawet dla wielkich ciężarówek zrobiony z trzech metalowych łodzi, zespawanych za pomocą tregier lub szyn i pokrytych dość gęsto drewnianymi belkami. Droga do tej wioski biegła wzdłuż wybrzeża, aż do ujścia dużej rzeki Mangoro. Samochód wjeżdża po drewnianych kładkach zrobionych z trzech desek. Gdy zatrzyma się na promie, pod koła wkłada się kamienie i na hamulcach stoi stabilnie przez 25 minut, aż po przejechaniu dwóch kilometrów nie dobieje do przeciwnego brzegu. Kościół katolicki stoi na końcu wioski, „nie jest nowy”: dach pokryty zardzewiałą blachą, walące się ściany zrobione z trzciny. Drewniany ołtarz jest zwykłym stołem zrobionym przez „niefachowca”. My siedzieliśmy na krzesłach przynoszonych z domów katolików, wierni na ławkach z nieheblowanego drzewa, na którym wyraźnie znać ślady dużej piły. Kościół jest mały (8x5 metrów), ale nie brakuje miejsca. Jest dużo dzieci chętnie, głośno i równo śpiewających na 4 głosy. Z dorosłych widziałem tylko dwóch mężczyzn i kilka kobiet. Po Mszy Świętej otrzymujemy po kopercie (z pieniędzmi) na powitanie i oglądamy dom misjonarza: 3,5x2 m. Wypaczone drzwi nie pozwalają na zamknięcie na klucz, przez ściany nie widać wioski, a blacha na dachu jest brązowa od rdzy. Podłoga z kory drzewa podróżnika jest położona na okrągłakach, 20 cm nad ziemią. Za umeblowanie służy łóżko bez materaca, stolik i dwa proste krzesła. Przed wejściem do kościoła jest łagodne zejście do wody, w której kobiety piorą, myją się i myją naczynia. Ale nie mamy czasu na dłuższe oględziny wioski. Zgodnie z obietnicą, prom przyjeżdża po nas około godziny 11,30 i w południe z niewielkim planowanym spóźnieniem zaczynamy obiad na misji w Mahanoro.

Innej niedzieli pojechaliśmy do Vatomandry (po polsku „śpiący kamień”). Właśnie głąz długości kilkudziesięciu metrów i kilka o wiele mniejszych wystają z wód Oceanu Indyjskiego tuż przy brzegu w miejscu, gdzie znajduje się to miasto. Pojechaliśmy samochodem terenowym volkswagenem. Droga wzdłuż wybrzeża jest piaszczysta, trochę korzeni wstających z piasku utrudnia szybką jazdę. Niektóre dziury trzeba wymijać. Dwukrotnie popychaliśmy samochód przez piasek tak, że nawet zraniłem się o drzewo, które nagle wyskoczyło spod koła. Do tego należy dodać oczekiwanie na promy, które przewiozły nas i nasz samochód przez dwie szerokie rzeki. Na pokonanie 68 kilometrów potrzebowaliśmy ponad 5 godzin. Na uwagę zasługuje asfalt na ulicy wzdłuż miasta Vatomandry, chociaż pozostałe ulice mają nawierzchnię naturalną, z piasku.

Misja Vatomandry jest zbudowana nieco na uboczu od centrum, ale wiele osób udając się nad Ocean Indyjski przechodzi ulicą między kościołem, a domem misyjnym. Kościół murowany i otynkowany, piękny, widać dobrą rękę fachowca. Podczas Mszy Świętej katolicy śpiewają głośno i równo. Młodzież już przyzwyczała się do prowadzenia śpiewu i czytań mszalnych. Przed wejściem do kościoła widać duży krzyż na postumencie, a nieco w przodzie i na uboczu, w zieleni, grota Matki Bożej.

Dom misyjny także solidny i wygodny, pokoje mają drzwi z dwóch stron na werandy, więc w nocy chłodny przewiew pomaga w zaśnięciu. Jest to dom, o którym brat budowniczy mówi, że zbudował go „od dachu do piwnicy”. Prawda wygląda w ten sposób, że jego przełożony polecił mu zbudowanie tego domu zostawiając jedynie szkic rozkładu pokoiw dodając, że ma być piętrowym, a zapomniał powiedzieć o piwnicy. Kiedy mury były już wybudowane do dachu, ten zapytał brata o piwnicę i brat zrobił ją na końcu budowy, gdy dach już był przykryty blachą, a pokoje wymalowane. Obok domu jest kuchnia, garaż i magazyn. Malgaski kucharz jest nauczony przynosić półmiski dopiero wtedy, gdy zostanie zawołany. Gdy raz wieczorem nie było gospodarzy ani znających ten zwyczaj gości i sami tylko przejezdni misjonarze siedzieli przy stole, kucharz postawił na stole zupę i godzinę w kuchni czekał z jarzynami i ryżem na wezwanie i dziwił się, że ojcowie tak długo jedzą, ale dał dowód dobrego wychowania i nic nie powiedział głodnym i oczekującym. Po obiedzie przyniosła nam gęś Malgaska, która nie знаła ani języka polskiego, ani francuskiego, my zaś nie znamy języka malgaskiego i nie mogliśmy porozmawiać z tą autentyczną córką Polaka, który tutaj pracował. Niestety, poza tym nic więcej nie udało się nam dowiedzieć z powodu bariery językowej, ale „ona przyszła do Polaków”.

Z drugiej strony dużego dziedzińca są budynki szkoły katolickiej, także ponadpodstawowej, prowadzonej przez siostry zakonne. Jest to więc misja kompletna. Cały dziedziniec jest porośnięty trawą oraz drzewami palmowymi, zwłaszcza imponujące są palmy kokosowe. W niedzielę była tu cisza, ale w poniedziałek rano o ciszy nie mogło być mowy, dopóki dzwonek nie wezwał uczniów do klas.

W niedzielne popołudnie podjechaliśmy samochodem do pobliskiego centrum katolickiego dla młodzieży męskiej w Tobaoro, przewidzianego na dwudziestu chłopców, którzy chcieliby się uczyć hodowli i ślusarstwa. Niestety, na obecnym turnusie jest tylko trzech chłopców, a brak zainteresowania jest przyczyną złej opinii wyniesionej stąd przez uczestników pierwszej grupy. Ośrodek był zaprogramowany w ten sposób, że miał powstawać razem z nauką hodowli i ślusarstwa. Pierwsi uczniowie przybyli niemal do pustego i niewykończonego ośrodka, tak że nawet budynki musieli stawiać i sprowadzać trzodę, a niektórym zwyczaj przodków nie pozwalał spożywać wieprzowiny. Przypomnij sobie poniżenie Syna Marnotrawnego z przypowieści Pana Jezusa. W chwili obecnej już można się uczyć nie tylko hodowli i ślusarstwa. Oglądałem ogródek, brat zakonny tłumaczył nam, jak przygotowuje się krzew kawowy i zbiera pieprz czy paprykę. Widziałem też znane już w starożytnym Rzymie urządzenie umożliwiające samoczynne napompowanie wody do basenu położonego o osiem metrów wyżej. Marnuje się dwie trzecie wody, ale jedna trzecia przepływającej wody jest wybijana na wysokość wystarczającą, aby wpłynąć do basenu umieszczonego na drewnianej „wieży” przy domu jednego z instruktorów. Metalowy basen jest umieszczony na wysokości dachu i stąd już woda sama spływa do każdego kranu w domach, a także na terenie ośrodka dla młodzieży. Mieszkają tu i pracują dwie rodziny instruktorów oraz brat zakonny, który tu nas przywiózł.

Powrót do Mahanoro był podobny, tą samą drogą (bo innej nie ma), tylko że mieliśmy dużo więcej szczęścia przy przejazdach przez dwie rzeki, krócej czekając na promy. Na obiad byliśmy już w domu.

Wiele razy byliśmy także w innym ośrodku dla młodzieży, w Marotsiriry, 18 kilometrów od naszej misji Mahanoro. Przejazd samochodem trwa około 40 minut, chociaż na niektórych odcinkach brat potrafił włączyć nawet czwarty bieg i osiągnąć 65 km/godz. Droga prowadzi wśród zarośli, lasu i wreszcie ryżowisk, jest piaszczysta, ale ostatnie 3 kilometry są już trudniejsze i przejazd może być problemem. Już mi się raz zdarzyło, że kierowca podwiózł mnie tylko i ostatnie 3 kilometry musiałem przejść sam na pieszo. Powróciłem nazajutrz samochodem z Marotsiriry, gdyż późnym wieczorem deszcz przestał padać i w tropikalnym słońcu droga szybko wyschła. Woda pozostała tylko w większych dziurach, ale nie było to przeszkodą dla doświadczonego kierowcy. W Marotsiriry mieszka jeden ojciec, jeden brat zakonny, cztery siostry zakonne i dwie rodziny instruktorów. Ośrodek ten ma podwójny cel. Na przemian dwadzieścia dziewcząt i po nich dwudziestu chłopców mieszka tutaj ucząc się uprawy roli, naprawy narzędzi rolniczych, a nawet prostych maszyn. Dziewczęta uczą się gotowania, szycia, higieny. Oprócz tego siostry prowadzą punkt sanitarny i każdego dnia kilka dziesiątek chorych i poranionych czeka w kolejce na lekarstwo i opatrunek, a czasem także na diagnozę. Doświadczenie siostry pielęgniarki bez urzędowego dyplomu jest tutaj honorowane i z wdzięcznością uznawane, misjonarze także tutaj szukają pomocy w potrzebie. Duży ogród przynosi dochód dla ośrodka, a przynajmniej dwa razy na tydzień brat przywozi jarzyny i warzywa sprzedawane na targowisku w Mahanoro. Misja też się zaopatruje w warzywa u brata. Zwykle w poniedziałek wyjeżdżają tam ojcowie, aby wspólnie odprawić Mszę Świętą i potem porozmawiać przy kolacji. Liczne pokoje gościnne pozwalają wracać do domu w Mahanoro na drugi dzień rano, gdyż jazda w nocy zawsze jest bardzo trudna, a nieraz niebezpieczna: ponad kilometr drogi prowadzi tuż nad urwiskiem do rzeki Mangoro.

Poznaliśmy już maleńkie żyjątko zwane pchłą piaskową, przywiezioną z Ameryki. Podczas czyszczenia statku marynarze razem z piaskiem wyładowali ją na afrykańskiej ziemi w Senegalu i stąd pchła piaskowa, nieraz zwana świrdrującą lub senegalską. Poczula się bardzo dobrze w Afryce i przedostała się także na Madagaskar. Chodzimy bez skarpet i przechodząc po piasku istnieje niebezpieczeństwo, że pchła wejdzie w stopę, najchętniej pod paznokcie. Pierwsze pchły już zaatakowały niektórych z naszej piątki, ja zdecydowałem się zawsze nosić agrafkę przy pasku od spodni. Doskonale radzą sobie z wyjęciem pchły malgaskie kobiety i dziewczęta, wyciągając woreczek z pchłą i pchlim potomstwem bez przebijania woreczka, co jest bardzo zalecane. Ja już też sam nauczyłem się dokonywać takiego zabiegu, a jeśli woreczek mi pęknie, wtedy trzeba czymś dezynfekować. Starzy misjonarze robią to najchętniej naftą, a nawet rozpoczynają od smarowania naftą, wtedy skóra łatwiej się rozdziela nad woreczkiem. Pchła jest tak mała, że trudno ją dostrzec, w nodze poznaje się ją po czarnym punkcie na woreczku. Jeśli się poczuje swędzenie, to znak, że pchła już się tam na dobre zadomowiła i otoczka jest z pewnością bardzo duża. Najwięcej pcheł wchodzi w nogi misjonarzy podczas misyjnych obchodów. Natomiast nie ma powodu obawiać się węży, nawet tych trzymetrowych, gdyż na Madagaskarze nie ma węży jadowitych, a te, które są, zaraz po przebudzeniu się na odgłos piechurów uciekają z drogi. Największym problemem z węzami jest więc nauczenie się malgaskich nazw ich sześciu gatunków.

Trwa tutaj Wielki Post. Brakuje nam polskich nabożeństw wielkopostnych, w kościele naszym nie ma nawet stacji Drogi Krzyżowej. Jedyne w Środę Popielcową chrześcijanie przynoszą swoje palmy poświęcone przed rokiem w Palmową Niedzielę i na misji spala się je na popiół, posypując głowy wiernym nie tylko w Środę, ale także w najbliższą niedzielę, a nawet przez cały Wielki Post misjonarze noszą ten popiół odwiedzając wioski położone daleko od misji, aby i ci katolicy też przeżyli to nabożeństwo pokutne. Kuchnia na misji ma większe możliwości i dlatego my nie jemy potraw mięsnych we wszystkie piątki w ciągu roku, jak w Polsce. Katolicy malgascy nie spożywają pokarmów mięsnych tylko dwa dni w roku: w Środę Popielcową i w Wielki Piątek. Nic dziwnego, przecież malgascy biskupi wiedzą, że ci ludzie nie mają lodówek, mięso jedzą dwa lub najwyżej trzy razy na miesiąc i nie mogą odłożyć zakupu do

soboty. Ludzie muszą kupić mięso w dniu, w którym zabija się zwierzę, a dokonuje się tego „publicznie”, w małych wioskach najczęściej w miejscu, gdzie zaraz potem jest sprzedawane. My zaś staramy się pamiętać o polskich zwyczajach, dlatego w każdą sobotę w kościele po Mszy Świętej w języku malgaskim śpiewamy po polsku Godzinki o Najświętszej Maryi Pannie.

Na razie mam wiele do opisywania, bo wszystko jest dla mnie nowe, toteż i moje listy są częstsze. Poczekaście więc do maja, wtedy dojdzie do Was następny mój list, którego treścią będą przeżycia Świąt Wielkanocnych.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Dziś znów pytanie na inteligencję. Czy należy potępić absolwenta, który w uroczystym dniu otrzymania świadectwa ukończenia Szkoły Podstawowej wręczył swej wychowawczyni kwiaty mówiąc: „niech pani je weźmie, zanim mi zwiędną”?

(Warszawa, 1960 r.)

* * * * *